

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 13 lutego 1926 roku.

Nr. 7.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

7) NA SZLAKACH ŚWIATA.

Zbliżaliśmy się do Krasnojarska, gdzie zapowiadano nam dłuższy postój, może nawet „zimowanie”. Wszystkie więc plany i marzenia zostały odłożone do tego postoju.

— „W wielkim mieście łatwiej będzie się wy starać o fałszywe paszporty i pieniądze, łatwiej się tam ukryć przed pościgiem w pierwszych chwilach... Przecież mamy tam towarzyszy „zsylnych” i sympatyków!” — dowodzili doświadczeni konspiratorzy.

Więzienie w Krasnojarsku składało się z kompleksu dwupiętrowych murowanych budynków, otoczonych wysoką na kilka metrów ścianą. Zaraz za wielką drewnianą bramą stała mała kordegarda dla straży zewnętrznej, którą pełnili żołnierze; wewnątrz sprawowali służbę nadzorcy więzienni. W więzieniu były warsztaty: ślusarskie, stolarskie, krawieckie, szewckie, tapicerskie; więźniowie sporo zarabiali i byli naogół zadowoleni. W Krasnojarsku zastaliśmy kilkunastu więźniów przywiezionych poprzednio, w ich liczbie Liona, którego po awanturze zabrano i wywieziono pocztą naprzód. Naczelnikiem więzienia był polak Ostrowski, który obchodził się z więźniami wyrozumiale, i był przez nich lubiany. Względem nas również okazał z początku wiele życzliwości i liberalizmu. Oddał do naszego wyłącznego rozporządzenia oddzielne skrzydło, gdzie sale więzienne były stale otwarte dzień i noc, tak, że mogliśmy się widywać i urządzić, jak nam się żywnie podobało. Kuchnię prowadziliśmy sami, po zakupy co dzień na miasto wychodziło dwóch naszych delegatów. Ostrowski szedł nam zawsze na rękę we wszystkich naszych życzeniach i wyrabiał nam rozmaite ulgi u prokuratora, wielkiego liberała, oraz u gubernatora Pieszkowa, który został skazany na pobyt aż tu za... uczciwość. Kiedy jeszcze okazało się, że dowódcą straży więziennej od czasu do czasu jest młodziuchny podporucznik Jocz, syn wygnanki politycznej z 63 roku, tylko co wypuszczony ze szkoły kadetów, śliczny, niezmiernie miły i zapalony chłopak, wszelkie „marzenia” nabrały niesłychanego rozpędu. Malutka kordegarda poza murami więzienia, gdzie dawano nam widzenia z gośćmi z miasta, pełna była od rana do zmroku i stała się miejscem modnych zebrań panów i pań z towarzystwa, miejscem pełnym śmiechu, wesołych rozmów, uczonych dyskusji, politycznych roztrząsań, kuźnią dowcipów i epigramatów. — Katorżanie, którym pozwolono zdjąć łańcuchy i przebrać się w cywilne ubranie, rychło uknuli w porozumieniu z Joczem wspaniały plan ucieczki dla kilku skazanych na bezterminowe roboty. Mieli zostawać w kordegardzie wraz z gośćmi po odprowadzeniu więźniów z widzenia z powrotem do „ostrogu”. Ponieważ panował wielki nieporządek przy przyjmowa-

niu i zdawaniu aresztantów, umyślnie potęgowany przez nas, łatwo zważyć można było na niedopatrznie, przyczem odpowiedzialność groziła jedynie Joczowi, a on się na nią zgadzał. Rzeczą była już przygotowana w wielkiej tajemnicy; dla utrzymania jej jak najdłużej katorżnicy przenieśli się do jednej sali. Już były wyznaczone dni i kolejność uciekających, kiedy zaszły wypadki zupełnie przez nikogo nie przewidziane.

Największą klęską wygnańców i więźniów politycznych, źródłem ciągłego niebezpieczeństwa i cierpień niewysłowionych są i będą pewnie po wsze czasy ci ich towarzysze, niezrównoważeni, chorzy, histeryczni, pozbawieni zupełnie poczucia rzeczywistości, wyolbrzymiający niesłychanie z jednej strony swoje prawa i zasługi a z drugiej — każdą krzywdę, każdą dolegliwość i upokorzenie, których pełne jest życie „zsylnych” i aresztantów. Jeżeli ci demagodzy obolałej uczuciowości zetkną się w pewnym momencie z posępnymi, ciasnymi dogmatykami — materiał dla więzennego dramatu gotów: zdrowi, silni, życiowi wtedy nieraz muszą umierać, ratując swoje sumienie i honor.

Takim doktrynerem-fanatykiem okazał się Salomon Lion. Gdy przysłała wiadomość, że na drodze do Irkucka po wsiach panuje skutek nieurodzaju głód, tyfus, i ospa, Lion wszczął gorącą agitację, żeby się nie dać prowadzić etapem, żeby żądać przewożenia politycznych pocztą „na trójkach”. Wszyscy, którzy zaznali już etapów, byli zachwyceni tym projektem; cała rzecz, jak go urzeczywistnić? Zaczęły się namiętne obrady, gdzie nie tyle mówiono o środkach, co o „pryncypiach” i na których coraz wyraźniej dokonywał się wewnętrzny rozłam wśród więźniów. Kiedy zaś Lion postawił tezę, iż w razie, gdy rząd się nie zgodzi, oprzeć się siłą, i nie dać się wywozić „franzolliści” doszli do ostatecznej rozpaczy i na jednym szczególnie burzliwym zebraniu rozegrała się wstrząsająca scena: jakiś młody człowiek ukląkł nagle w kole obradujących i wyciągając błagalnie ręce, zawołał:

— Darujcie towarzysze, jestem młody, pragnę żyć!... Mam matkę, którą chcę jeszcze zobaczyć... Pozwólcie mi przenieść się do celkowego więzienia... Tu poleje się krew... tu będzie zabójstwo! Ja nie chcę, nie chcę!..

Nastąpiła głęboka cisza, a potem zawrzało. Cała gromada więźniów zapowiedziała, że będzie prosiła o przeniesienie do innego skrzydła. Jednocześnie „katorżanie” wtajemniczyli Liona w swoje plany i prosili, aby wstrzymał swą agitację, lecz ten wraz ze swymi zwolennikami oparł się, dowodząc, że tu chodzi o rzecz o wiele większą, niż ucieczka paru ludzi, tu chodzi o czyn rewolucyjny,

o protest, który zwróci oczy Europy na położenie więźniów stanu w Rosji!!

Coś z tych sporów, narad i zatargów przesiąknęło do władz więziennych, gdyż zaczęto stopniowo ukrać nasze „swobody”. Na widzenia puszczano mniejszymi gromadkami i trwały one krócej, zaczęto zamykać nas na noc w celach i liczyć rano i wieczór (powierka), czego dotąd nie było. Zaczęto dociekać wśród więźniów, kto doniósł? Oskarżono o to jakiegoś Kowalewa... Powstały kwasy, gniewy, ordynarne kłótnie, śledztwa i sądy. — Ucieczkę katorżan odłożono na parę dni, czekano, aż znowu wróci przepuszczony dyżur Jocz. — Przyszedł nareszcie oczekiwany dzień; w kamerze „katorżników” nastrój był cichy i zarazem podniecony. Nagle przeleciał ktoś po korytarzu, wołając: — „Na podwórze!... Naszych biją! — Więźniowie runęli na zewnątrz. Przy bramie już skupiła się gromadka i wyglądając przez wyłamanie okienko, krzyczała coś i stukała gwałtownie. Kiedy dopadliśmy do bramy, dostrzegliśmy przez otwór bladego jak śmierć zesłańca Fiodorowa, nauczyciela ludowego, opierającego się szarpającym go żołdakom. W jednej chwili naparliśmy na bramę i ona z trzaskiem ustąpiła pod naciskiem setki młodych ciał. Porwaliśmy Fiodorowa i wciągnęliśmy triumfalnie do bramy. Ale straż już wybiegła z kordegardy i nastawiwszy bagnety, ruszyła łańcuchem na nas i tłoczący się poza nami olbrzymi tłum kryminalnych. — Jocz, przypasując pospiesznie szablę, wyskoczył przed żołnierzy:

— Stać! Nie wchodzić w bramę!... Panowie, na miłość Boga, co robicie!... Wracajcie zaraz do cel!... Muszę zameldować!... Mój Boże, mój Boże!

Cofnęliśmy się i przyszli zwolna do siebie. Rozpytaliśmy się Fiodorowa, o co poszło. Okazało się, że nasi nieszczęśliwi towarzysze, którzy „szukali pociechy w zapomnieniu”, prowadzili na swoją rękę kontrabandę wódki przy widzeniach. Władze więzienne dotąd patrzyły na to przez szpary, lecz teraz wzmocniły nadzór. Fiodorow, który, notabene, sam wódki nie pił, zgodził się przemycić butelkę, schował ją

jednak tak niezręcznie, że wystającą z kieszeni szyjkę, dostrzegli żołnierze i chcieli mu ją odebrać. Zrobiło nam się wstyd, gotowiśmy byli dać satysfakcję władzy więziennej, lecz partja urzędnicza, przeciwna liberalizmowi gubernatora, postanowiła zrobić z awantury użytek. Zjechały więc władze sądowe i policyjne. Pułkownik (nazwiska zapomniałem), dowódca okręgowej brygady etapowej, objął kierownictwo „uśmirenim”. Korytarze napelniono żołnierzami. Pozamykano nas w celach. Słyszeliśmy zbliżające się ku nam krzyki, głuche uderzenia, brzęk łańcuchów.

— „Nie damy się bić!... postanowili katorżanie, wyłamaliśmy z prycz deski i uzbroiwszy się niemi. Gdy drzwi się otwarły, pułkownik nie śmiał wejść do nas, lecz zakomenderował:

— „W sztyki”! Biej ich, careubijc!...”

Tu znów uratował nas Jocz, który krzyknął na całe gardło: „nie śmieć!... smirno!...” Żołnierze nie bili nas, lecz brali pod rękę, wyprowadzali na korytarz, gdzie dozorczy i kowale więzienni zakuwali nas w nożne i ręczne łańcuchy¹⁾. Wielu osadzono w ciemnych „karcerach”, a wszystkich rozdzielono na grupy po kilkunastu i zamknięto w osobnych „kazamatach”, wszystkich pozbawiono ciepłej strawy na parę dni, wstrzymano widzenia i spaceru, nie dopuszczano posyłek i listów z miasta. W rezultacie wybuchła w więzieniu „głodówka” — straszna i ostateczna broń niewolnika. „Głodówka”, w której część administracyjnych nie wzięła udziału — załamała się na paru niebezpiecznych omdleniach słabszych towarzyszy oraz na wysyłce etapem „katorżników”, niesłusznie uważanych za przywódców buntu.

(Dok. nast.).

¹⁾ Podobno srogi pułkownik dziękował potem podpor. Joczowi, że nie dopuścił do rozlewu krwi. Jednak Jocz oddano pod sąd, ukarano zesłaniem do Nikołajewska nad Amurem, gdzie się zastrzelił. W 12 lat później poznałem jego matkę, panią Joczową, secundo voto Grosmanową, zacną, niesłychanie dobrą opiekunkę w Irkucku wszystkich wygnańców zarówno polaków, jak rosjan.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

7)

BEZ SERCA.

Trudno mabyło przyzwyczać się do tej całej pompy, zapożyczonej od arystokratycznych próżniaków z przed wielkiej francuskiej rewolucji, którą to pompę przedwojenne mieszczaństwo i karjerowiczowska przedwojenna t. z. inteligencja identyfikowała z pojęciem kultury.

Lecz jeszcze ciężiej, niż z mężem, szło pani Heli ze zdobywaniem opornych salonów towarzyskich, które nie zjawiły się nawet za poruszeniem palca w jej pantofelku. Trzeba było z początku i karku ugiać i gorycz nieraz strawić. Czyhano tylko na dobry powód do wymówek bojkotu: Na gaffę w niestosownym ubraniu, w nieodpowiednim doborze potraw, w nieodpowiednim sądzie o ludziach, o rzeczach, o sztuce, obowiązującym w salonach.

Pani Hela intuicyjnie odczuła całą szematyczną salonową finezję tego, ce qui se fait et ce qui ne se fait pas.

Należało być au courant takich faktów, jak na przykład: Gruszek nie je się samym nożykiem, lecz nożykiem i widelczykiem; a kompot złoconym widel-

czykiem i takąż łyżeczką, naturalnie po zdjęciu najniepotrzebniej leżącej na deserowym talerzyku lilipuciej koronkowej serwetki. Po obiedzie nie używa się już płukanek. On ne donne plus de confitures. To wszystko wiedzieć i pamiętać! O, bogowie!

I pani Hela, uświadomiona do zenitu co do wszystkich paragrafów i nieoficjalnych tajników t. zw. kulturalnego życia, z bogaciwszy już swoją francuszczyznę takimi wyrażeniami i akcentem, o jakim nikomu we Wróblej Woli się nie śniło, zdobywszy już najtrudniejsze do zdobycia, nie mające jej nic do zarzucenia salony najwyższego mieszczaństwa. miljonowych fabrykantów i po bajońsku opłacanych dyrektorów, mecenasów, akademickich malarzy i programowych literatów — zadecydowała naraz w tragicznym rozczarowaniu:

— Paryż nie był wart mszy. Jak można wkładać życie w tak czczy ideał! Jak mogłam? Aż mi wstyd przed samą sobą. Jak można było tak się pomylić! Po co żyć i obcować z ludźmi, których w najlepszym razie bardzo średnio lubimy? Po co wysadzamy się na

urządzenie dla nich salonu i przyjęć, wzbudzających w nich tem większą niechęć i zawiść? Bo tak wszyscy żyją. Lecz dlaczego należy koniecznie żyć, jak wszyscy? Aby nie uchodzić za dziwaka, odludka i filozofa. Czy to już lepiej męczyć się, kłamać i nudzić?

Ach! Ten przesadny dobrobyt, pozwalający próżniaczyć! O! Ten fałszywy zewnętrzny estetyzm, godzący się na najgorsze zło, dopóty na zewnątrz nie wybuchą! O! To życie, „jak się patrzy!” Ten dom, prowadzony „na pewną stopę”, to pewne stanowisko hierarchiczne i towarzyskie, należenie do tout Varsovie, posiadanie odpowiednich tualet na wszystkie sezony, biletów abonamentowych na wszystkie koncerty filharmonijne i na wszystkie premjery w teatrach, zajmowane na tych samych numerach foteli! I five o'clocki w zimie, wyścigi na wiosnę, wyjazdy do zagranicznych badów w lecie, a jesienią odczyty modnych konferensjerów. O, bogowie! Jakżeż to wszystko przenuadne!

Bo cóż właściwie obchodziło ją, który koń wyścigowy dojdzie pierwszy do mety? Przecież utworami Ryszarda Strausa, Skriabina, Debussy'ego i Szymanowskiego, zrozumiałego tylko dla garstki słuchaczy, którzy do nich dorosli — należało zachwycać się jedynie ze snobizmu. Bo poza entuzjazmującą się garstką smakoszy — przecież dziewięć dziesiątych natłoczonej premjerowej sali przechodzi męki Tantala przez tych kilka godzin od tego chaosu dźwięków, od których pękają im bębenki w uszach i szczęki od ukrywanego ziewania.

I w teatrze należy kłamliwie zachwycać się jedynie utworami antykami lub przenowami modernizmami, które w gruncie strasznie nam się nie podobają, lecz jest w złym guście do tego się przyznawać.

A w salonie to wieczne przelewanie próżnych kłamstw w puste blagi! Wszystko ujęte w karby imperatywów chwili: Wszystkie kobiety muszą obnosić w każdym sezonie podług ostatniego nakazu mody uczesane włosy, jednakowo skrojone suknie i jednakowe zapatrywania polityczne, społeczne i artystyczne. Muszą umieć na pamięć ostatnie plotki i ostatnie anegdutki, wspólne sezonowe wyrażenia, dowcipy z ostatniej operetki i konjunktury. Na niektóre sezonowe prawdy należy bezapelacyjnie się godzić, na niektóre z zewnętrznym sztucznym ogniem się oburzać, bo zarówno zapal, jak i oburzenie jest kłamliwą uniwersalną formą, niezależną od tego, co każdemu w mózgu siedzi. Najczęściej coś zupełnie trzeciego, choć jedynie to trzecie mogłoby być ciekawe, o ile mózgi nie są puste.

— To nieprawda — zakonkludowała, — że kultura stolicy prowincję oświeca. Warszawa mnie ogłupiła. Uchodziłam dawniej za inteligentną i zdolną. Dopiero ta karykaturalna kultura... Warszawa wszystkich ogłupia.

Ci wszyscy jednakowiuteńcy ludzie, różniący się jeden od drugiego jedynie kolorem włosów i nazwiskiem. Te same dusze, te same myśli, te same słowa. A raczej ten sam brak duszy, brak myśli, jedynie wiecznie te same słowa, słowa, słowa... Cóż za męka żyć wśród ludzi, z pomiędzy których wszyscy Malinowscy nie różnią się niczem od wszystkich Nowakowskich! O! Ta estetyczna nuda konwencjonalnego tandetnego na pokaz życia! O! Ten wieczny kolacyjny majonez z ryb, indyki z kompotami i lody. I te straszne salonowe rozmówki z Ollendorffa. I te kłamstwa konwencjonalne, które trzeba umieć na pamięć. I uchylanie czoła przed autorytetami, których nie rozumiemy i wyszydzenie tego, z czem w głębi solidaryzujemy — jakaż to nudna uroczysta operetka!

Jeżeli ludzie nie odczuwają życiowych ideałów—należy zmienić albo ludzi, albo ideały. Bo karykaturą moralności są hołdy, składane bóstwom, w które się nie wierzy. A karykaturą kultury są słowa, różne od myśli. Pieśń od Sasa, a tekst do lasa. Bo nic tak nie gangrenuje duszy, jak kłamstwo, nawet wtedy, kiedy człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, że kłamie.

Pani Heli — wskutek tych rozmyślań aż się wyć zachciewa. Wiecznie i wiecznie toż samo. Rano (no niebardzo rano, bo o godzinie 10-ej) kąpiel, potem herbata, potem coiffura z ondulacją włosów, manikura, ubranie, aż do śniadania o godzinie 1-ej. A potem wyjście na miasto, sprawunki, five'y; potem obiad, wieczorowy strój i rauty, bridże, lub teatr. A po teatrze kolacja w Europie lub w Bristolu.

— I pomyśleć, że się do takiego ideału dąży i że ludzie zazdroszczą tym, którym marzenia te się spełniły. Czyż może być większy tragizm, jak spełnienie marzeń, co do których człowiek się pomylił? Nie. Jest jeszcze większy tragizm: Dojście do przekonania, że nic innego pozatem na świecie niema.

I pani Hela, której wszyscy zazdroszczą stanowiska w tout Varsovie, salonu, tualet i łoży 1-go piętra na premjerach—poczęła bojkotować te spełnione marzenia. Miała ich po szyję. Poczęła opuszczać premjery i abonamentowe z zagranicznymi sławami piątki w Filharmonji. Odmawiała ogłaszanego w kurjerach patronatu filantropijnych rautów i bali. Mąż sprowadzał lekarzy. Przyjaciółki twierdziły, że prosto „w głowie jej się przewróciło”.

— Bo ostatecznie brak jej kafelki z pieca.

— E! Komuż by tam chciało się — zawyrokowała doświadczeńsza przyjaciółka — kafelek z pieca lub gruszek na wierzbie? Prosto mówiąc, brak jej kochanka.

— Jest to środek, którego się nie odrzuca — zgodziła się jakaś pesymistka. — Ale czy jest radykalny? Haszysz oczadza, lecz nie leczy. Pomijając już, że z czasem powiększa się dawki i że zmienia się wciąż gatunki wobec tego, że dawne już nie działają. I kobieta ani spostrzegła, jak stała się nałogową pijaczką.

— To musi być straszne — zawyrokowała pani Hela, usłyszawszy strzęp ostatniej części rozmowy — być zmuszoną pogardzać samą sobą. Brr... Wy znacie moją pasję zyskiwania na pensji nagród i wiecznej piątki ze sprawowania. Prawda, że to bardzo łatwo panować nad pokusami, kiedy się niema serca — ironizowała pewna, że z tym zarzutem, datującym się z czasów Wróblej Woli, nie rozstanie się do końca życia.

— Pani wystarcza platoniczna miłość redaktora Quira, o którym wie pani, co mówią?—chichotały, szepcząc sobie do uszu jakieś erotyczne kalumnje, wiecznie przejęte jakimiś alkowianami tajemnicami.

— Nie mam serca. Doskonale. — upierała się w myślach pani Hela, jak ów malec, twierdzący: „Dobrze. Na złość matce pójdę bez czapki odmrozić sobie uszy”.

— Nie mam serca. Naturalnie. Bo nie czuję wdzięczności dla męża, że zamiast dawnej kanapy u krewnych, mam teraz dzięki niemu łóżko mahoniowe. Tak. Nie czuję wdzięczności, bo nie sypiam teraz wcale smaczniej w tem łóżku, niż na dawnej kanapie. A po nim znać, że promienieje, wdzięczny mi za te jego spełnione marzenia każdego arraywisty: życia „po pańsku”. Jest szczęśliwy. A ja?

.(D. c. n.)

59) CZARNE SKRZYDŁA.

Dziś, „przy niedzieli” ulica budziła się później, niż zwykle. Wysoko nad rzędem suchych drzew błyszczało we mgle światło słońca zawiązkiem opalowej jasności.

Będzie pogoda!

O jeden dom dalej za restauracją Cieplika wstał Tadeusz do fryzjera.

Nad drzwiami zajączał dzwonek. Z za czerwonej kotary wyłonił się człeczyna w szarem ubranku, z dwoma grzebykami, sterczącymi z kieszeni na pierśsiach.

— Doskonale, — rzekł Tadeusz. Zdjął raglan, uroczyście zawiesił na haku, rozłożył przed sobą gazetę, rozwalil się na krześle i wydał polecenie—:

— Proszę ogolić, ostrzyc, — umyjemy głowę, — szanowny pan zwróci uwagę na rozdziałek.

Wyciągnął przed siebie nogi, wygodnie, po amerykańsku i zapatrzył się w lustro. W zielonej, sfałdowanej powierzchni odbicia, na tle pstrych ogłoszeń Pixawonu, Giletty, Champoingów, manikury, widniała ta oto własna, ostra twarz, tak znana, że prawie obojętna.

Przesłaniały ją ciemne kosmyki włosów, spadające gęsto z podnożyc na biały pokrowiec.

Tadeusz pierwszy raz po wielu, wielu tygodniach patrzył na międzynarodowe ogłoszenia reklamowe bez żadnej zazdrości. Drukuje się je, płaci, idą sobie, chodzą po świecie, — i niech idą...

— Ba, — odezwał się nagle, — stojąc tak blisko, z pewnością wdycha pan mimowoli włosy klienta, zwłaszcza drobne, aż do płuc chyba!?

Fryzjer nie zrozumiał, ukłonił się przelotnie i jeszcze prędzej zabrzączał nożycami.

O wdychaniu włosów do płuc powiedziane było — dla głębszego sensu. Nie wiadomo bowiem, czy w odbiciu lustra, czy też w bezmyślnym zapatrzeniu pomieślały się Tadeuszowi dobrotliwie różne losy i sprawy... Ktoś pragnął wynaleść coś, narobić hałasu, oszukać, omylić współczesność, pędzić aż do Australji, — ktoś inny wybrał sobie na kuli ziemskiej odrazu krzeselko przed lustrem, w trzecim domu na prawo za Cieplikiem — i strzyże.

Wydało się Mieniewskiemu, że w ostateczności, niema tu żadnej różnicy. Wszystko jedno, kto, kogo:—Jakby w trzecim domu na prawo za Cieplikiem. Mieniewski — strzygł Mieniewskiego!

Podniósł głowę, zatrzymał rękę fryzjera z maszynką nul-nul, przygotowaną właśnie do wygolenia karku i podając papierosa, rzekł z najtkliwszym uśmiechem: —

— Niechże pan zapali papierosa. Po kawie, — po śniadaniu trzeba zapalić. Proszę bardzo.

Słowa te napęłniły Mieniewskiego bezmierną tkliwością.

Dmuchając skromnie w bok, wypośrodkowywał fryzjer grzebieniem rozdziałek, — gdy oczy Tadeusza padły na ostatnią rubrykę kroniki w miejscowej gazecie. „Pisało” tam, pod tytułem, — „Szaleństwo, czy bezczelność” o wczorajszym zajściu w Radzie Kopalń i Hut. Bez nazwisk. Zakończono słowami —: „Niefortunny wynalazca zbiegł”.

Tadeusz postanowił przedewszystkiem widzieć się z Lenorą. Zdjąc w lasku pod drzewami kapelusza, by się zachwycić zapachem wypomadowanego ucze-

sania, przytulić ją, powiedzieć wyraźnie, że to intryga Niny i dodać, — widziałas, jakie łotry?!

Potem, — zostać w Osadzie. Aż się wszystko wyświetli. Pokazać tym ludziom! Na pożegnanie, — podał rękę fryzjerowi.

Wyszedłszy od fryzjera, zoczył tuż pod parkanem na podwórku restauracji Cieplika dwóch drabów w niebieskich fartuchach, którzy wielkimi blaszanymi trzepaczkami bili pianę w olbrzymiej miednicy, ustawionej na beczce po sliwkach.

Zbliżył się do nich, pogadał, pomógł, słońce już zaczęło przygrzewać, pod kupami śniegu przemknęły niebieskie atlasowe cienie, — Tadeusz wbił pianę wysoko i oddawszy kopystkę, ze śmiechem wybiegł z podwórka.

Spodziewał się zastać Lenorkę u Supernaków, za Zielonem. Kupił po drodze parę obwarzanków, z makiem. W nadziei, że we dwoje zjedzą je na przyzbie, — do słońca.

Domostwo było zamknięte, — w izbach pusto, jak wymiótł, Burusia nawet ze sobą zabrali. Tadeusz schował obwarzanki do kieszeni raglanu i obszedł chałupę dookoła. Okna muzeju zabite na głucho. W izbie Supernaków, — przestronnie, jasno, — jakby po zmarłej miejsca jeszcze przybyło.

Przez malutkie szyby zaglądnął do Szymczyków. Na środku izby stał drewniany, obtłuczony kuferek. Na spadzistem wieczku para starych trzewiczków, niedomknięte pudełko po cukierkach z rurkami od włosów, akuratnie złożony ciepły szal, wszystko razem nakryte lusterkiem.

Leżało szybą ku izbie, odbijając na białej powale kwadrat słonecznego blasku.

Rzeczy Lenorki! Pod ścianą chyliły się części drewnianego łóżka. Widać, przegnał ją stary Supernak, tu się przeprowadziła, — do Szymczyków. Mniej obszedł Tadeusza fakt, niż sam widok zebranego na małą kupkę mienia.

Mieniewski usiadł na przyzbie i zapatrzył w połyskujące stawy fabryczne za lasem, jadł obwarzanki. Mgły rozsunęły się już dostatecznie, nad pięcioma kominami huty, kurzącymi słabo, „świętecznie”, rozciągało się niebo perliste, niewiele ciemniejsze od śniegów.

Jadł, okruchy spadały mu na raglan. Nie strzeżując ich, podziwiał w cichości swą beztroskę. Zamierzał udać się zaraz wzdłuż toru, w stronę księdza Kani, gdzie dziś objawić miano nową wiarę. Polecili tam już wszyscy, od dawna zapewne.

Wyszuka Lenorkę, po nabożeństwie pójdą laskiem, daleko, — moczary zamarzyły na dobre. Dopiero tam, gdzieś, jakoś pod drzewem, niechcący uraczy Lenorę nagle wiadomością dobrą a głupią, — że zostaje w Osadzie.

Okazało się, że już przed wsią, na odludnej hałdzie przy rozwalisku drewnianej karczmy czuwały straże wiernych. Straże i niby nie straże. Ten i ów, robotnik i nie robotnik, rzekomo spacerujący z kijkiem, obtupywanym paznogciami.

Niebardzo wiedziały te czaty, czego pilnują. Tadeusz bowiem wraził głowę w dziurawe okno rudery, nie doznając od nikogo żadnej przeszkody.

(D. c. n.).